Nr. 51. We Lwowie dnia 19 grudnia 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Eliszka Krasnohorska.



Bywają ludzie, równie wielcy charakterem, jak talentem, twórcy piękna w życiu, jak w poezji, — ludzie, których pieśń zapala, podnosi, uszlachetnia, a czyny wcielają dążenia idealne w kształty rzeczywistości. Do takich właśnie wybranych należy Eliszka Krasnohorska, poetka-obywatelka, której pięćdziesiątą rocznicę urodzin naród czeski święcił w ubiegłym miesiącu z niezwykłą uroczystością.

Zaranie życia najsławniejszej poetki czeskiej, (ur. 18. listopada 1847 r.) przypada na doniosłą chwilę w dziejach jej narodu. Budził się on wówczas z letargu, w który był zapadł po klęsce Białogórskiej, otrząsał z obcych wpływów, rozpalał miłością dla długo zapoznawanej wielkiej kochanki — Ojczyzny. Młodzieńcza pierś przyszłej poetki oddychała też od najwcześniejszej doby atmosferą zdrową, wolną od wrogich przymieszek, — duch nie błąkał się po niemieckich manowcach, jak to miało miejsce z wielkiemi jej poprzednikami, lecz odrazu znalazł właściwą drogę. Wschodząca czarownie nad krajem czeskim jutrzenka odrodzenia drasnęła promieniem lutnię Krasnohorskiej i struny jej ozwały się hymnem miłości dla tej jutrzenki, dla tego kraju.

Pierwsze piosenki Krasnohorskiej, drukowane w „Kvetach", pozyskały dla niej przyjaźń pierwszorzędnych gwiazd w ówczesnej literaturze czeskiej: Swietli, Halka, Jerzabka, Riegera i zwróciły ogólną uwagę wdzięczną formą, bogactwem myśli i przymiotem natenczas niezmiernie rzadkim — czystością języka. W r. 1871 poezje owe wyszły w osobnym zbiorku pt. „Z máje žiti" (Z majowej doby życia). Nie ma tu jeszcze plastyki ani potęgi słowa, które spotykamy w późniejszych utworach, ale jest czar szczerego natchnienia, jest zapowiedź przyszłej wielkości, jest serce. Nuty, odzywające się tu poraz pierwszy, trochę nieśmiało, trochę naiwnie, zahuczą kiedyś rozkołysanym dzwonem w duszy poetki i w jej pieśni. Utwory, jak: „V hlubinach", „Novy rok", „Nasz puvod" świadczą, że i w „maju życia" myśl autorki zwracała się ku najwyższym zagadnieniom ludzkiego istnienia, rozwiązując takowe — na swój sposób. — „Czeske hory", „Veczerni modlitba", „Stara vlast'" („Dawna ojczyzna") to wyraz najgorętszych uniesień patrjotycznych. Nakoniec w „Dźwiękach ludowych" („Zvuky prostonarodni") mamy dowód, że młode dziewczę, które z biegiem czasu miało zdobyć tytuł „narodowej" poetki, wiedziało, a może tylko czuło instynktownie, gdzie, — w czem lud składa „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty".

Poezje „Z majowej doby" miały powodzenie niesłychane i w krótkim czasie powtórnego doczekały się wydania. Czytano je z zapałem, z gorączką. Były przecież tak spółczesne, skupiały, na podobieństwo wklęsłego zwierciadła, promienie, rozpalające ówczesną atmosferę w Czechach.

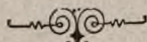
Ale niebawem zjawił się na rynku literackim groźny dla nich rywal, który wstępnym bojem zdobył serca czytelników. Rywalem był nowy tom poezji Krasnohorskiej: „Ze Szumawy". Nie słaby powiew majowy szemrze w tych melodjach, — szumi w nich z jękiem i świstem potężny wicher, od gór szumawskich bijący. Poetka wkracza tu w nietkniętą przed tem dziedzinę poezji politycznej. Mówi o krzywdach, o mękach swego narodu, wskazuje mu wysokie cele, przyświecające ludzkości, smaga biczem satyry odstępców, co za misę soczewicy sprze-

dają prawa czeskiego ludu, uspakaja strwożonych nadzieją jaśniejszego jutra. Głębokiej treści odpowiada wszędzie skończenie piękna forma, świetny język. Autorka znajduje najbogatsze farby na swej palecie wówczas zwłaszcza, gdy maluje przyrodę szumawskiej krainy, gdy opiewa krasę ojczystej ziemi. Perłą jednak zbiorku jest pieśń, a raczej dwie pieśni Chodów, dzielnych strażników granic czeskiej ziemi, zbliżonych charakterem i zwyczajami do naszych Kurpiów. Pieśni „Chodske“ cieszą się ogromną popularnością w Czechach: zna je i śpiewa lud, deklamują artyści na scenie w uroczystych dla narodu chwilach.

O przyjęciu, jakiego doznała od ogółu nowa serja poezji Krasnohorskiej, mówi wyczerpanie w ciągu kilku miesięcy całego nakładu. Fakt tyle wymowny, ile rzadki — Odtąd w odstępach mniej więcej dwuletnich niezwykle płodna autorka wzbogaca literaturę ojczystą coraz nowemi zbiorami coraz doskonalszych poezji. Po pieśniach szumawskich ukazały się „Vlny w proudu“ („Potoku fale“) „Letorosty“ („Odrostki“ — „pędy“), „Bajky Velkych“ o poważnym, filozoficznym zakroju, ukazał się cykl pieśni „K slovanskemu jihu“, w którym poetka opiewa natchnionem słowem wielowiekową niedolę południowych Słowian, ich walki, bohaterstwo, tryumf. Dalej z pod pióra Krasnohorskiej wymknęły się chybkie „Jaskółki“ („Vlastowiczki“) i zaświegotały o lazurowem niebie, o słońcu szczęścia, a po tej łagodnej idylli przyszedł poemat epiczny w szerokim stylu, „Szumawski Robinson“, tragiczna opowieść o dziejach człowieka, który pokłonił się cudzym bogom, zaparł ojczyzny i za zbrodnię renegactwa straszną poniósł karę w tem co było mu najbliższem, co ukochał ponad wszystko inne.

W wymienionych powyżej pracach, niemniej jak i w najświeższym zeszłorocznym zbiorze poezji „Na żywej strunie“, Krasnohorska pozostaje wierną raz obranemu sztandarowi i nie zapomina nigdy o szczytnem powołaniu poezji, która wedle jej pojęć ma być „strażniczką narodowego sumienia, mistrzynią życia, gwiaździstym stropem, wysoko ponad powszedniość wzniesionym“.

(Dok. nast.). *M. Wysłouchowa.*



Ostatnie prace Żeleńskiego *).



W przedmowie do świeżo wydanego dziełka „Nauka pierwszych zasad muzyki“, Żeleński takie wyraża zdanie: „W dotychczasowych podręcznikach, polskich zwłaszcza, uderzył mnie brak logicznego przeprowadzenia nauki: są to po większej części zbiory luźnych wiadomości, zaczerpniętych z doświadczenia, nie wystarczających jednakże do gruntownego zrozumienia początków teorji.“ W słowach tych niema ani cienia przesady; z kilku dziełek w języku polskim, traktujących o muzyce, najbardziej rozpowszechnione „Zasady muzyki, oraz nauka czytania nut głosem“, Karola Studzińskiego, nie odpowiadają obecnym wymaganiom pedagogji, tak ze względu na usystematyzowanie wykładu, jako też i niejasne określenia niektórych działów nauki. Czas był już zatem wielki otrząsnąć się trochę z teroryzującej nas tradycji i zapoznać uczących się muzyki z nowemi poglądami, które dawno już przyjęły się za granicą.

Żeleński, podjąwszy to zadanie, a pragnąc gruntownie wyczerpać przedmiot, posiłkował się nietylko swem własnem pedagogicznem doświadczeniem, lecz oparł się na takich powagach, jak: A. Savard i A. B. Marx, których prace o teorji muzyki uchodzą za najznamienitsze.

„Zasady muzyki“ Żeleńskiego odznaczają się przedewszystkiem: jasnością wykładu, ścisłością naukową, oraz logicznem uporządkowaniem systematu. Niektóre z działów, jako to: o gamach, interwallach, oraz o wartościach dźwięków i rytmice, są szczególniej starannie opracowane: odnajdujemy tam wiele nowszych zapatrywań, bardzo racjonalnie wyjaśnionych, które prostotą swoją odrazu trafiają do przekonania. Wielką również zaletą tego dziełka jest duża zawartość treści podanej zwięźle, wyrażonej językiem poprawnym.

Pracę naszego znakomitego ziomka uważamy za bardzo wyczerpującą, gorąco też polecamy ją nauczycielom i uczącym się muzyki.

Jako typ wzorowej ścisłości stylu w muzyce kościelnej mamy obecnie przed sobą utwór Wł. Żeleńskiego, hymn „Boga Rodzico“, opracowany na cztery głosy mieszane z akompaniamentem organu.

Czynione zarzuty temu dziełu, jakoby forma rytmiczna, w którą pieśń została ujętą, nie zgadzała się z pierwotypami tego hymnu, a prowadzenie melodji stanowi warjant zbyt dowolny, dla nas niema doniosłego znaczenia.

Wiadomo, że przy obecnej pisowni nut — niema takiej wartości dźwięku, któryby nie można było określić ściśle, odnośnym podziałem rytmicznym — jeżeli zaś, wbrew tradycji, nie piszemy teraz muzyki kościelnej według dawnego systemu, to jedynie tylko dla wielkiego ułatwienia w wykonaniu, jakie daje podział rytmiczny; nic zatem nie zmienia się i nie traci kompozycja pisana rytmicznie;

*) Przytoczone poniżej uwagi o pracach Żeleńskiego, skreślone piórem p. Juljusza Stattlera, wyjmujemy z artykułu o nowszych wydawnictwach muzycznych umieszczonego w jednem z czasopism warszawskich.

chyba tylko — na dowolności w wykonaniu, co według nas, jest rzeczą bardzo pożądaną.

Co do drugiego zarzutu, że kompozytor nie trzymał się ściśle konturu melodyjnego — najpowszechniej znanych warjantów tej starożytnej pieści, a wybrał ten, który najwięcej odpowiadał jego przekonaniom artystycznym, uważamy to za kwestję gustu.

Wszystkie znane warjanty tej pieśni różnią się mniej więcej między sobą, tłómaczy się to tem, iż zanim została zanotowaną w wędrówce swej przez wieki całe, podawana przez tradycję z ust do ust, w rozmaitych stronach kraju nie jednakowo się ukształtowała, stąd — w Krakowskiem śpiewają pieśń tę inaczej, niż w ziemi chełmińskiej, na Mazowszu — inaczej niż w Prusach i t. d.; wybór zatem wersji przez kompozytora mógł tu być dowolnym i nie obarcza go winą niezastosowania tradycji i tak niedość ściśle określającej melodję tego hymnu.

Z punktu artystycznego dzieło to przedstawia się nad wyraz korzystnie; przedewszystkiem harmonizacja melodji zwraca na siebie uwagę. Mając do rozporządzenia całe bogactwo kolorytu harmonji z jej nowożytną barwnością odcieni, Żeleński musiał cofnąć się o parę wieków wstecz, by odnaleźć pokład odpowiedni melodji, zgodny z jej prostotą i powagą. Zaczerpnął też jakby z żywo bijącego źródła — z przeszłości naszej sztuki, nie wyszukane harmonje, prowadzone przeważnie djatonicznie w lekkiem przypomnieniu tonacji kościelnych; czyni to wrażenie duże i nadaje kompozycji charakter starej pieśni, stawia ją na właściwem miejscu wśród zabytków sztuki, którą uprawiali tacy mistrze — jak Gomółka, lub Wincenty z Szamotuł. Żeleński tą maleńką kompozycją, z czterech stronic złożoną, dał nam dowód swej wielkiej, głębokiej nauki.

Mówiąc o pracy Żeleńskiego, na czasie będzie wspomnieć o ślicznem wydaniu opery „Goplana“ w fortepjanowej partyturze z głosami (Klavier-auszug). Piękna opera, którą za kilka tygodni ujrzymy na scenie teatru Wielkiego, rozpatrywana takt po takcie, zastanawia bogactwem pomysłów, wdziękiem rozbujałej fantazji — tak w tematach, jak i w rytmach oraz płynnie i oryginalnie rozwijających się harmonjach. Z całą przyjemnością studjowaliśmy to dzieło, odkrywając coraz to piękniejsze ustępy i radzilibyśmy naszym melomanom to samo uczynić, zanim pójdą wysłuchać „Goplany“, śpiewanej na scenie.





Do Waruny*)

Waruno! . . . . .

*

*   *

Ręce się moje podnoszą ku tobie,
wielki Waruno,
porannej zorzy rozkrwiawiona łuno,
strugi płomieni lejąca po globie! . .
W twą stronę —
Ku twym wyżynom, o słońce,
wzlatują myśli moje utęsknione,
a niespokojne, wciąż się poza siebie
obracające,
czy nie mkną za niemi
nagie, wychudłe od dzikiej chciwości,
upiory mroków . . .

*

*   *

Kiedy na niebie
blask twój zapłonie
falą iskrzystych potoków
ponad posępnem cmentarzyskiem ziemi,
kryjących w sobie zgasłych wieków kości —
ku twej słonecznej koronie
ze snu rozwarte kiedy spojrzą oczy,
czemu nie radość rozdźwięcza mą duszę
w błogosławieństwa święty hymn, w ochoczy
wielbnych melodyj szał,
a tylko w wnętrzu wciąż przytłumiać muszę
skryte, tajemne, natarczywe lęki?

*

*   *

Traw twoich pęki
lśnią smaragdami, zaścielając miękki,
wonny, puszysty kobierzec dla ciał,
zaróżowionych pragnieniem rozkoszy!
Na toś w nie ogień swego życia wlał,
ażeby więdły z trawami,
by blakły z barwą ziół,
by opadały razem z liśćmi drzew,
nim zdążył przebrzmieć rozpoczęty śpiew?
Zanim nad nami
zdoła się stoczyć w grób czerwonych mórz
żar twego słońca, światło twoich zórz,
czemu nas ręka niewidzialna płoszy?

---

*) Z motywów wedyckich.

czemu nas spycha w cień,
w chłodną, wilgotną toń,
w przygniatającą cieśń,
nielitościwy, straszny, srogi boże,
twa niewidzialna dłoń?

*

* *

O życie!
O rytmie krótkich, urywanych tchnień,
których największy arcymistrz nie złączy
w pełną, zamkniętą, harmonijną pieśń!

*

* *

A ty, na szczycie,
spokoju mając zgotowane łoże,
srebrnym, przejrzystym naodzian obłokiem,
słonecznem śmiejesz się okiem,
o płomienisty, a tak zimny boże!
Gdy oddech milknie śród starganych łon,
gdy krew się sączy
z palców, silących się uderzać w lutnie,
by z tych przez ciebie naciągniętych strun
wydobyć ton,
co się nie urwie, nim się z tonem zleje,
ty z głębi cichych, przedwieczornych łun
wychylasz cichą twarz —
cichą okrutnie!

*

* *

O wielki smutku nasz!
O wyczerpanie naszej wszystkiej siły,
O w oceanu głąb schodzące zorze!

*

* *

Któż ci jest miły?
O kogo ty dbasz?
Czyje wypełniasz nadzieje,
o bezgranicznie obojętny boże?!...
Mglistą świadomość człowieka
w swoim bezdennym pochłaniasz Erebie —
jak ten ostatni blasków promień mgławy,
w swe bezgraniczne zatapiasz ją morze,
zamykające się nad nią bez wrzawy,
bez burz, bez gromów, bez pomruku fal,
bez rozpienionych pierścieni,
zanim się mogła stać świadomą siebie!

*

* *

W nieogarniętą, w niedosięgłą dal,
która jest pełna ciebie,
twych żywych ogni i twych martwych cieni,
podnoszą ręce się moje.

*

* *

Mrok na nie ścieka —
mrok na nie zlewa swych ołowiów zdroje...

*

* *

O ciemnią nocy posępny pogrzebie!
Drogo nieznana! o drogo daleka,
ginąca w ciemni przepastnej otchłani!
Widma tułacze —
potworne strachy, lęki i rozpacze,
oślepłe, głuche, o piersi zapadłej,
gęsto twe brzegi obsiadły:
oblazłe z włosów czaszki pożółkniałe
biją o czaszek nawałę
i pięść o pięść się rani,
i z zachrypniętej krtani
okrzyk bezdźwięczny kracze
twą nieśmiertelną chwałę,
o słońce! o życie!
o ty gasnących zórz wieczornych boże!
o ty nieznana, o daleka drogo!

*

* *

Mnogo
globów ognistych —
ty wiesz: tak mnogo, że miljon rozumów,
lat miljony liczących, nie zdoła
wyczerpać miary — rozsiałeś dokoła
w tym pełnym ciebie przestworze...
W błękicie
dnia słonecznego, o promienny boże,
i w nocy roztoczach mglistych,
o ty pomroków panie,
krążą środ szumów,
niedosłyszalnych dla ucha,
te światy.
I każdy z nich ma swe zorze,
co gasną,
każdy blaknącą ma swą jutrznię własną,
swych słońc zachodnich każdy ma szkarłaty
i swe przepastne otchłanie...

*

* *

Życia i śmierci ty harmonjo głucha!

*

* *

Na szczycie
swoich ogromów, pomiędzy ogromy
siedzisz, Waruno, i patrzysz na ziemię,
na pył ten marny, na proch ten znikomy,
na to robactwo, na te lwy, na trawy,
na wód kropelkę, na plemię
ptaków i ludzi,
na krwawy,
na nieopłatny znój...

*

* *

Zabłysły zorze —
na łan zorany spłynął blasków zdrój,
pieśń skowrończana ze snu siewcę budzi...
Ziarna wyrosły w twoich deszczów rosie,
kłosy dojrzały w cieple twego słońca.
Orkanny tabun twój
przebiegł po roli i stratował siew...
O zmilkły pieśni skowrończanej głosie!
O ty zdeptany ugorze,
na którym sterczy zwiędły, czarny krzew —
oset żałoby..

*

* *

Bez końca
wicher uderza o wierzchołki drzew...
Czerwone liście padają na groby
głucho, bez dźwięku..

*

* *

Upiorne dusze obległy rozdroże...
Patrzą... gdzie patrzą? — Suną... dokąd suną?...

*

* *

O lęku!

*

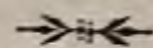
* *

O ty słoneczny, o jasny Waruno!

Jan Kasprowicz.



W GÓRACH KAUKAZU.



(Dokończenie).

Położył ręce na stole, oparł o nie głowę i wpatrzył się w nią pieszczotliwem spojrzeniem.

— Dobrze mi wśród was... Taka jakaś otwarta, życzliwa, prawdziwie ludzka atmosfera... Można być zawsze sobą, a pomimo to nikt cię nie szturgnie, nie ukłuje, nie zrani umyślnie .. przeciwnie — pomoże, pożałuje... Ja jednak tęsknię... brak mi czegoś... Z początku, pókim nie wiedział, co to jest praca ręczna, myślałem, że ciężkim trudem wszystko zagłuszę... jąłem się roboty z zapałem. . pamiętasz?... Nie pomogło!... Teraz znów wraca... Lada gazeta, miesięcznik... staje przedemną ta reszta — cały świat ogromny... Doskonalić się... i tylko się doskonalić!... Po co?... Dla kogo?... By czuć się czystym i dobrym!.. Nie! Wolę jedno szlachetne uczucie w tysiącu serc, niż całe życie kryształowe.. Z tego jednego tysiące nowych wykwitnie... Wolę dzielić z niemi cierpienia i radości, walkę a nawet upadek!...

— Upadek?

— Tak. Przecież będę musiał znowu udawać, i milczeć, i z cudzej pracy korzystać... Ale co znaczy moja okruszyna wśród powszechnej bachanalji... Przecież ty wierzysz, Maryniu, że ja nie tylko dla siebie żyć będę... Miałem i ja plany wyłącznie osobiste .. ale... Maryniu, powiedz, ukochana, że... nikogo...

Dziewczyna potrząsła przecząco głową.

— A... Piotr?...

— Co? Zazdrość?!...

— Ależ nie!... Tak tylko... Bądźcie szczęśliwi.. wszystko mi jedno!... Prawda... pragnąłem bardzo spotkać się z wielkiem uczuciem... nim ostatecznie rzucę się... Myślałem, iż poznawszy wszystko, co warto znać na ziemi, w godzinach próby będę hartowniejszy... Los chciał inaczej!... czuję się słabym, ciężko rannym.. Może wszystko w tej przygodzie utraciłem...

— Widzisz, jak my się różnimy! — przerwała Marja. — Ty sądzisz, że uczucie osobiste może pokrzepiać i sił dodawać, a ja wiem, że tak nie jest... Im więcej panujemy nad sobą, tem silniejsi jesteśmy w życiu zewnętrznem. Przekonałam się o tem wielekroć razy... Wszystko, co osobiste, przeszkadza tylko... Trzeba być wolnym... Ty powiadasz, że zdala od nich żyć nie możesz... a ja nie mogłabym powrócić do nich .. Ciebie nie odstrasza ich zgiełk ich głupota... Wierzysz, że mógłbyś tam zmienić niejedno, coś trwałego zostawić... Ja czułam się tam zawsze taką małą, zahukaną, bezsilną.. Wszystko tam wydaje mi się niepotrzebne, bezmyślne... Bo tylko prosta praca, i samo najprostsze życie ma sens, ma cel... którego my jednak nie mamy... Wszystko inne zbrzydło mi!... Tam za najmniejszą dobrą chęć, za byle dobry uczynek trzeba płacić niezliczoną ilością ustępstw.. Tu każdy mój postępek może być jasnym i czystym — to odemnie tylko zależy... Wrócić, aby znów kłamać, chwiać się, błąkać, żyć w ciągłej ze sobą sprzeczności!... Innym odbierać zdrowie, po-

karm, życie i kazać czekać na zapłatę w przyszłości!...

— Wszystko to już słyszałem — wyrzekł niechętnie Paweł. — Przecież i ty, Maryniu, wierzysz w zwycięstwo prawdy?

— Tak, ale nie twemi środkami i nie na twojej drodze!... Posłuchaj, Pawle, ja trzeźwo patrzę na rzeczy i powiem ci, coby było, gdybym dała ci się przekonać... W tych warunkach, w jakich ty żyć będziesz, jabym się zamęczyła, zmieniła — i ty przestałbyś mię kochać.. Stałabym ci się ciężarem... Nie mogę... czuję... tyś inny.. w tobie.. — tu umilkła i podniosła się.

— Maryniu, powiedz słówko!... powiedz tylko...

— Jacyście wszyscy nielitościwi! — szepnęła dziewczyna z tłumionem łkaniem.

On przykląkł i nieśmiało wyciągnął do niej ręce.

— Nie! za nic! — krzyknęła przerażona i odsunęła się w przeciwny róg stołu.

Paweł siadł na stołeczku i głowę oparł na ręku. Milczeli długo, nie patrząc na siebie. Wkrótce szum wiatru przyniósł im zdala głosy ludzkie. Psy zaczęły ujadać znowu.

— Idą!... zobaczą nas!...

— Więc cóż?... Czyż wszyscy nie wiedzą?...

— Nie chcę tego!... Na co?...

Paweł wstał, wziął broń i tyłami wymknął się do lasu. Marja zgasiła lampę. Rozmowa wracających myśliwych stawała się coraz wyraźniejszą.

— Pewnie zziąbł, a nie chcąc zepsuć nam polowania, powrócił sam do domu... To w jego stylu....

— Ale jeżeli znajdziemy go w domu, to zwymyślam!...

— Wątpię. U Maryni widzicie, niema światła: u nas też się nie świeci!

— Może śpi.

— A jeśli niema go w domu, to nie wiem, co będzie!... Czuję trwogę.. Nigdy jeszcze nie byłem tak przerażony, jak na widok tej pustej skały...

— Hej!.. hop:... hop!... — dało się słyszeć w ciemnościach.

Idący zatrzymali się.

— Słyszycie?... To on!... hop!... hop!... Paweł!... bywaj!...

Stefek i Koluś chcieli biec na spotkanie, ale wstrzymał ich Piotr.

— Stać na miejscu!... Jeszcze go bardziej zmylicie!... Stać i krzyczeć!..

— Hop! hop! Pa-weł!.. Tu!.. bywaj!...

Zatrzeszczał „chmerecz“ w pobliżu i ciemna barczysta postać wysunęła się na drogę.

— Coś ty narobił!... Wart jesteś kija!

— Dlaczego odszedłeś, nic nie mówiąc?

— Błądziłeś? ale nic ci się nie stało? Nie stłukłeś się? — troskliwie wypytywał Koluś, biorąc go za ramię.

— O cóż wam chodzi?. Na co tyle hałasu? Ani krwi, ani trupa nie znaleźliście w przepaści, więc można się było domyślić, żem poszedł.

Zaczął niedbale opowiadać mu swoje przygody: jak zbłądził, jak kamień wysunął mu się z pod nóg, jak chciał strzelać do świętojańskich robaczków.

— Niewieleś stracił, żeś poszedł — rzekł Koluś. — Żyrany nie przyszły Piotr mówi, że na zmianę pogody kładą się w złomach.

Tak gwarząc, wrócili do osady i weszli do swego szałasu.

W chwilę później Marja zawołała ich na wieczerzę. Piotra uderzyła niezwykła jej bladość. Siadł chmurny i wcisnął się w kąt. Paweł nerwowo przygryzał usta i na nikogo nie patrzał. Koluś, który opowiadał z zapałem wrażenia myśliwskie, spostrzegł wreszcie, że nikt go nie słucha.

— Nam czas pewnie w drogę? — zwrócił się nagle do Pawła.

— A dobrze — odrzekł tenże.

— Nie radzę na taki czas... wiatr.. noc. Lepiej czekać do świtania — perswadował im Stefek.

— O świcie będziemy już w kolonji... a po śniadaniu do roboty!..

— Przeszłego poniedziałku spóźniliśmy się także i wyznaczyli nam zajęcie dopiero po południu... Jutroby znowu... Nie, tak nie można... bo to się na innych plecach odbija... — dowodził Koluś.

Nikt im nie przeczył. Paweł poprawiał już odzież, podwiązywał obuwie, ściągał pas. Obejrzeli broń i ruszyli w drogę. Mieszkańcy Darbegu odprowadzili ich aż na brzeg dębowego lasku, skąd widać było morze i śpiące w blasku miesiąca „szichany.“

— Do widzenia!... Do zobaczenia, Kolusiu!.. Panie Pawle, do widzenia!... Żegnamy!... Kłaniajcie się na kolonji! — krzyczeli za odchodzącemi.

— Kolusiu! Kolusiu!... Na Boga bądźcie ostrożni, nie osuńcie się gdzie w przepaść!... — prosiła Marja.

— Dobrze, dobrze... Słuchamy!

Stali długo i patrzali, jak tamci spuszczając się w dół, jak kozy, skakali po złomach, a za niemi w ślad biegły ich cienie.

Wichura tymczasem w pałąk gięła dębowy las, rzucając w przepaści, napełnione blaskiem księżyca, garści zwiędłych liści, połamanych gałęzi i strąconych z wyniosłości kamieni.

Wacław Sieroszewski.



Dziennikarstwo angielskie.

(Dokończenie).



ejletonistyczny dział tych pism jest utrzymany w podobnym tonie. wszystkie padają powieści ciągnące się przez długi szereg numerów. a niektóre np. „The Weekly Budget" po trzy naraz.

Ulubione są powieści sensacyjne i straszliwe opowiadania, opisy bitew, okrucieństw, spustoszeń, jakieś uratowania życia czyjegoś, miłość i zazdrość, uwiedzenia i tajemnicze morderstwa. Wśród tego znajdują się czasem miłe niewielkie nowelki z humorystycznym zakrojem

Prócz silnego trunku wzruszeń, czytelnik niedzielny pożąda jednakże także pożywnej zupki pożytecznych wiadomości, zwłaszcza z zakresu, jaki śmiało do domu zanieść można.

Tak więc pisma owe przynoszą przeważnie wskazówki w rozmaitych kwestjach medycznych przyrodniczych prawniczych i historycznych, jednem słowem, jak się pewne pismo skromnie wyraziło, „o wszystkiem dla każdego". Mają naukowych współpracowników dla każdego działu. „Lloyds Newpaper", jeden z najstarszych i najwpływowszych tygodników, liczy pomiędzy nimi nawet duchownego, który dla uspokojenia sumienia pobożnych, co do kościoła się lenią, każdej niedzieli prawi im ze szpalt kazanie. Dla kupca z City, który nawet w niedzielę nie chce interesu spuszczać z oka, większość ich, zwłaszcza „Sunday Times" i „Weekly Sun", troszczy się o wyczerpujące sprawozdaniania handlowe i giełdowe.

Obszerna korespondencja z czytelnikami, rozciągająca się na wszelkie możliwe dziedziny podtrzymuje zainteresowanie. W ten to sposób pisma owe starają się dla każdego coś przynieść i czytelników swoich sowicie wynagrodzić za prywacje, jakie na nich nakłada niedziela. Możebne jednak, że muzea i wystawy obrazów, które od niedawna pozwolono w niedzielę otwierać, w przyszłości zrobią konkurencję pismom niedzielnym.

Podobnie jak powyższe tygodniki przeznaczone dla publiczności niedzielnej, także i reszta innych tanich pism tygodniowych w dwu ostatnich dziesiątkach lat potężnie się rozwinęła. Wszystkie niemal ukazujące się dziś jednopennowe lub półpennowe tygodniki pochodzą z lat ośmdziesiątych i dziewięćdziesiątych Są pomiędzy nimi poważnie realistyczne, żartobliwie komiczne, artystyczno płoche i wreszcie towarzyskie.

Jednem z najwybitniejszych pism pierwszego rodzaju jest w r. 1881 przez Jerzego Newnesa założony tygodnik „Tit Bits". Metodą jego i zasadą jest robić z czytelników swoich współpracowników, którą i w dziennikach tu i ówdzie się stosuje. Z 60 szpalt opowiadań, powieści, dowcipów, pożytecznych i niepożytecznych wiadomości wszelkiego rodzaju, które każdy numer zawiera, niemal połowę stanowią korespondencje i płatne opracowania konkursowe czytelników. Właśnie pomiędzy temi opracowaniami konkursowemi, przeważnie mniejszemi opowiadaniami, znajduje się niejedno dobre, nawet doskonałe. Zresztą treść ma na sobie piętno mierności. Statystyka, która jeśli nie służy jakiemuś celowi, jest zawsze ostatnią ucieczką ubóstwa duchowego, święci tu prawdziwe orgie. Donosi się tam, kto jest najgrubszy, kto najcieńszy, najwyższy, najmniejszy na świecie, ile jest na świecie ludzi o jasnych i o ciemnych włosach, ilu garbatych i ślepych, głuchoniemych i obłąkanych, kto ma największego psa, najkosztowniejszy szal, najdroższe klejnoty, ile chleba, mleka, mięsa, odpadków rocznie się w Londynie konsumuje, co cesarz niemiecki jada na śniadanie itp. Niema pytania tak błahego i głupiego, na któreby „Tit Bits" nie miały gotowej odpowiedzi. Prócz tego zasypują świat sporą garścią bardzo nieraz obojętnych faktów i urządzają korespondencje o wszystkiem, co tylko jakiemuś człowiekowi w wolnej godzinie na myśl wpadnie. Masy masą zdobywać — to jest zasadą pisma.

Podobnem przedsiębiorstwem jest tygodnik „Ansvers" w r. 1888 założony. I tu czytelnicy są współpracownikami, a zabawka w pytania i odpowiedzi rozciąga się na wszelkie możliwe dziedziny życia. W jednym numerze np. znajdujemy genialne pytanie: „Ile osób znasz pan?" Nagrodę otrzymał naturalnie jakiś komiwojażer, który wykazał 3198 znajomych. Ale wśród tej i podobnej banalnej tandety, znajduje się bezwątpienia nieraz coś pięknego i zajmującego.

Z humorystycznych tygodników najbardziej rozpowszechnionym jest „Ally Slopers Half Holiday", istniejący od r. 1884. Główną figurą jego jest dobrodusznie-głupkowaty o czerwonym nosie pijak Ally Sloper, z liczną swą rodziną, a obok niego grupują się inni podobni reprezentanci szkockiej i irlandzkiej narodowości.

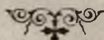
Pismo to daje komicznie skarykaturowany obraz angielskich obyczajów i angielskiego życia. Karykatury, jak dla naszych upodobań, byłyby trochę przesadne, wszystko razem jednak ma odrębność i charakter i odsłania wcale zręcznie fantastyczno-groteskową stronę angielskiego życia. Prócz tego pisma istnieje jeszcze cały szereg podobnych, przeważnie po pół penny kosztujących, jednakże zarówno co do treści jak co do ilustracji należą one do bardzo podrzędnego rodzaju.

Inny znów rodzaj ilustrowanych tygodników reprezentuje smak i interesy wielkich „Music-hals", i teatrów rozmaitości, które

w kraju Szekspira i Garricka niemal niepodzielnie w dziedzinie dramatycznej zapanowały. Takiem pismem np. jest „Pick-me-up“ (Zerwij mnie). Informuje ono o nowościach z zakresu sceny, jest nieco swawolne i lekkomyślne w tonie, ale nigdy nie przekracza granic przyzwoitości, jak to jest z jego francuskimi kolegami. Ilustracje zaś są na ogół wyborne. Podobne, niemniej pięknie wyposażone pisma są: „Illustrated Bits“, „Sketchy Bits“ itp.

Pozostaje jeszcze wspomnieć o jednej klasie czasopism, wielce charakterystycznych dla stosunków angielskich: są to t. zw. „Pisma towarzyskie“. Thackeray, wytworny znawca angielskich warstw średnich, powiedział raz, że Anglikowi przyjemniej jest aby go lord nadeptał, niż żeby go pominął. Ta towarzyska zależność przy całej społecznej swobodzie, nazwana mianem „snobbery“, znajduje w „pismach towarzyskich“ wyraz i podnietę. Zawierają one bowiem plotki z dworu i z wytwornego towarzystwa, najchętniej naturalnie skandaliki. Skoro tylko lord X. pójdzie na obiad do lorda B. zaraz o tem szczegółowo donoszą owe pisemka, a już prawdziwe żniwo mają, jeśli wykradnie lady B i z nią umknie. Każdy wie dokładnie, co się w nich znajduje. Prócz takich plotek pisma te dają pogawędki, rzeczywiste fejletony, pikantne wiadomości artystyczne, a oddają nieraz dobrą przysługę, stawiając pod pręgierz obłudników i oszustów. Najbardziej znanemi wśród nich są: „Society“ (Towarzystwo) i „The World“ (Świat). Również radykalny tygodnik „Truth“ (Prawda) deputowanego Labouche'ra uprawia społeczną i towarzyską satyrę, lecz przytem wykrywa niedomagania armji i administracji, uprawia politykę, uwzględnia handel, przemysł literaturę, nie może się więc zaliczać wyłącznie do t. zw. pism towarzyskich. Zresztą przez swą wyższą cenę — około 30 centów — zwraca się do wyborowej publiczności.

Tak więc dzisiejsza angielska prasa jedno- i półpennowa przedstawia różnorodny i pstry obraz i składa świadectwo owej anglo-saksońskiej energji i sile życiowej, która w poprzednich stuleciach trzy czwarte kuli ziemskiej skolonizowała lub zdobyła — a dziś zabiera się do tego, aby duchowo i finansowo zdobyć świat cały. Sądząc po rozwoju i potędze jej prasy, przepowiedniach niektórych dalekowidzów, że kiedyś Anglicy zasymilują całą ziemię, nie wydaje się znów całkiem nieprawdopodobną.



Z ruchu wydawniczego.

Dla młodzieży. Nowe to wydawnictwo, podjęte staraniem księgarni Rzążewskiej w Warszawie, a przeznaczone dla ubogiej młodzieży wiejskiej i miejskiej, rozpoczynają dwie książeczki, które ujmują czytelnika zewnętrznym nawet wyglądem. Skromna ich okładka przypomina barwą szare pola nasze, a limby, sosny, wiejska dziatwa tytułowej winiety przenoszą myśl daleko po za mury miejskie, w słoneczne zacisze górskiej jakiejś okolicy.

W sympatycznej okładce mieści się, jak piękna dusza w pięknem ciele, sympatyczna treść. Pierwsza książeczka daje pięć utworów poetycznych Lenartowicza i trzeba przyznać, że wydawcy umieli wybierać w bogatej puściźnie lirnika mazowieckiego. Jest tu »Jagoda«, dziewczyna »nie łakoma«, co szczelnie zamyka usta, aby zbierając poziomki na sprzedaż nie zjeść ani jednej, ale szeroko otwiera niewinne, przeczyste oczy dziecka na piękności leśnej przyrody.

Podziwia brylantowe rosy na liściach, wstępuje w rozmowę z pszczółką, ściga przyjaznym wzrokiem umykającego zająca, a potem wtóruje poszumom leśnym piosenką, w której upomina nieobecnego braciszka, aby w obcych krajach nie zapomniał o rodzinnej stronie

Gdzie nad chatą rozwaloną,
Nad kominem het wysoko,
Takie nieba jasne łono,
Jak nieboszczki matki oko.

Po »Jagodzie« idzie w zbiorku »Wiochna«, urocza, jasna, wesoła, jak majowy poranek Wiochna, co w całem życiu swojem trzy razy tylko płakała: przy trupie babki w komorze, podczas pożaru kościoła i słuchając pieśni wędrownego dziadka »o Polaku w niewoli«. Śpiewanie to rozrzewniło ją tak bardzo, że pocałowała dziada w rękę, a łzy żalu i bólu spłynęły mu w lirenkę.

Niemniej zajmującem od dwóch poprzednich opowieści będzie dla młodych czytelników »Mały światek«, w którym myśl »cicha, jak chata, nad dym ojczystej wioski nie wzlata«.

Natomiast „Zachwycenie“, osnute na znikającem już po wioskach, a nieznanem ludności miejskiej wierzeniu ludowem, trąci anachronizmem i mogłoby być z korzyścią zastąpione czem innem.

W drugiej książeczce młoda autorka, ukrywająca się pod literami K. S. D. opowiada „o Władysławie Syrokomli“. Czas już wielki, aby lud dowiedział się o sławnym poecie, który był gorącym jego rzecznikiem, a pióro swoje maczał nie w rosie porannej, nie w blaskach tęczy, jak Lenartowicz, lecz w krwi i łzach chłopskich. Szczera też wdzięczność należy się szanownej autorce za jej ciepłe, serdeczne słowo, za opowiadanie przystępne a gładkie, jakkolwiek nie wyczerpujące szerokiego tematu. *M. W.*

Wiadomości bibljograficzne.

Wydawnictwa gwiazdkowe:

Teresa Jadwiga: *Przed świtem* powieść historyczna dla młodzieży z 6-ma ilustracjami M. Kotarbińskiego, Petersburg, nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego 1898.

Teresa Jadwiga: *Wielki król* powieść dla młodzieży z czasów Bolesława Chrobrego z 6-ma ilustracjami M. Kotarbińskiego. Nakładem księgarni Grendyszyńskiego 1898.

Marja Werybo i Stefan Gębarski: *W zaklętem królestwie*, opowiadanie dla młodocianego wieku z 25 rycinami. Nakładem księgarni Grendyszyńskiego 1898.

Z drukarni Z. Golloba.